

PTAK W POSTACI DZIEWCZYNY

Siedziałam przy stole matki i oglądałam książki z obrazkami, na wszystkich były zwierzęta; wierzyłam, że zwierzęta mówią jak ludzie i pragnęłam mieć psa, z którym mogłabym porozmawiać, byłam bowiem jedynaczką. Matka bała się psów, otrzymałam więc ryby w akwarium. Ryby nie potrafiły mówić, choć otwierały i zamykały pyszczki, jakby chciały coś powiedzieć, a może właśnie dlatego, że nie mogły, wokół nich było mokro i kiedy na nie spoglądałam, do oczu napływały mi łzy. Później dostałam żółtego ptaka z krzywym dziobem i ptak śpiewał przez cały dzień. Nauczyłam się śpiewać jak on.

Lecz ptak nie nauczył się mego śpiewu. Nuciałam stare piosenki o zwierzętach, które jeden pocałunek przemienia w ludzi i pocałowałam tego ptaka, ale on ukłuł mnie krzywym dziobem i wcale nie stał się człowiekiem.

Poszłam do szkoły, spotkałam inne dzieci i już nie wiedziałam, dlaczego pragnęłam zwierzęta przemienić w ludzi, skoro ludzi jest pod dostatkiem; ich język rozumiałam lepiej, a teraz uczyłam się czytać. Siedziałam przy stole matki i oglądałam książki, lecz nie było w nich obrazków.

Odkryłam, że moje koleżanki są jak ptaki; szczebiotały, a jednak nie mogłam śpiewać z nimi tak radośnie jak ongiś z moim żółtym ptakiem. Nie wierzyłam, że pocałunek czyni je ludźmi, przecież były już nimi, a ja wcale nie miałam ochoty ich całować.

Potem pomyślałam, iż dzieci nie są chyba prawdziwymi ludźmi, ja też nie jestem jeszcze prawdziwym człowiekiem. Później, po latach poczułam ból w kolanach, co miało ozna-

czać, że rosnę. Zauważyłam, że nie mieszczę się w swej postaci, w lustrze spostrzegłam me wzrastanie, lecz nie przywiązywałam wagi do nowych kształtów. Poznawałam coraz więcej słów i sylab w obcych językach, a jednak nie mówiłam więcej. Może odziedziczyłam to po matce, chociaż była tylko moją macochą, ona zawsze milczała. W szkole dowiedziałam się, że ludzie byli najpierw zwierzętami. Przypomniałam sobie dawne piosenki i zapytałam czy pocałunek przemienił zwierzęta. Wszyscy się śmiali, a najgłośniejsi chłopcy, których głosy nabierały dopiero męskości, jakby mieli zamienić się w wilki. Nauczyciel uśmiechnął się nieznacznie i powiedział coś, czego nie rozumiałam, lecz dzięki temu nie mogłam zapomnieć: „Wtedy zwierzęta zadawały człowiekowi ból, ponieważ nie były ludźmi. Teraz ludzie przysparzają sobie nawzajem cierpienie, ponieważ nie są zwierzętami. Różnica polega bowiem na tym, iż zwierzę może coś boleć, zaś człowiekowi mogą sprawić ból inni — albo on sam sobie.” Od tego dnia chłopcy chodzili za mną i wyciągali język. — Chcesz, żebym cię pocałował i uczynił człowiekiem? — wykrzykiwali. Otoczyli mnie, a ja podrapałam im ręce do krwi. — Dzika kotka — wołali, skakali wokół mnie i powtarzali: — Kiss-kiss mała miss — na tyle bowiem zmądrzeli i nauczyli się, że całować znaczy w obcym języku kiss.

Jeden z chłopców miał na imię Rolf. Był silniejszy niż inni, dlatego bałam się go najbardziej. Dostrzegłam, że zawsze za mną chodzi. A kiedy zjawiali się ze swymi okrzykiem — kiss-kiss mała miss — przepędzał ich. Głos miał donioślejszy od pozostałych, mógł ich więc przekrzyknąć. Do mnie się nie odzywał, kiedy wracałam do domu, towarzyszył mi niczym piesek, gdy odeszłam ze szkoły, uczynił to samo, zatrzymał się przy furtce ogrodowej i zajrzał. Siedziałam w domu i spoglądałam przez okno. Macocha twierdziła, że jestem jeszcze za młoda i nie pozwalała mi wychodzić. Kiedy się ściemniło i wzrok macochy osłabł, wymknęłam się do ogrodu. Staliśmy, oddzieleni furtką i milczeniem, czułam się tak samo jak wówczas przed lustrem i marzyłam o człowieku, którego myśli zgłębię jak włas-

ne. Lecz teraz było inaczej. Nie potrzebowałam myśleć o sobie, robił to on, a ja myślałam o nim. Nie mogliśmy jednak ciągle milczeć, chociaż tak byłoby najlepiej; pragnął coś powiedzieć, ale wydawało się, że od czasu opuszczenia szkoły zapomniał jak się mówi. Na jego wargach zawisły przedziwne dźwięki. Pobiegłam do domu. Nie mogłam zasnąć, mimo iż zapadła noc, nadal słyszałam go i widziałam, jak przechadza się przy blasku księżyca. Nie pojmowałam, czy będzie mnie ochraniał przed wszelkimi niebezpieczeństwami, czy też tylko uważał, bym nie uciekła.

Tak mijala noc po nocy; wiedział, że macocha chce mnie wydać do innego domu. Jesteś podrzutkiem — mawiała — nadszedł czas, byś wyfrunęła z gniazda. — Nie lubiłam tych słów. Kiedy miałam odchodzić, zawołałam Rolfa, lecz on właśnie zasnął i pochrapywał.

Nie znalazłam innego domu, bo domów było brak. Stałam w kwiaciarni i sprzedawałam róże i lilie. Wypłatę otrzymywałam w kwiatkach, nie miałam jednak nikogo, komu mogłabym je ofiarować. W moim pokoju duszno było od róż. Przez cały dzień chodziłam odurzona, w nocy nie spałam, a róże żółkły w świetle księżyca.

Co dzień przychodził do kwiaciarni chłopak i kupował duże bukiety, mimo że był tylko pikolem. Poruszał się nerwowo, a kiedy odwracałam się i wiązałam kwiaty, przechylał się przez ladę, spostrzegłam to w lustrze. Zarozumiała pomyślałam, że na pewno chce mnie obejrzyć, aż pewnego razu odkryłam, że mierzy w stronę kasy, aby zdobyć pieniądze na kwiaty. Staralam się tego nie zauważyć, może miał komu ofiarować kwiaty. Właściciel przywołał mnie i zagroził zwolnieniem, brakowało bowiem kilku monet. Gdy pikolo znów się pojawił, oznajmiłam, że nie mogę nic sprzedać, jeśli natomiast przyjdzie wieczorem na poddasze, otrzyma całe morze kwiatów. Powietrze w moim pokoju stawało się coraz bardziej odurzające. Przyszedł, lecz nie chciał kwiatów, był zdenerwowany i omal nie upadł. Dziwnym brzęczącym głosem opowiadał, że zaglądał do kwiaciarni, aby mnie ujrzyć, a jego mieszkanie tonie w różach i liliach.

Przychodził co wieczór, mówił o pogodzie, a ja nie lubiłam jego brzęczącego głosu ani rozbieganych oczu. Pewnego wieczoru przyniósł dwa srebrne pierścionki, jeden chciał mi подарować. Chciał mnie nosić jak na skrzydłach, a tam, gdzie mieszkał rosły róże i lilie. Zmęczona moimi różami i żółta od światła księżyca, przyjęłam pierścionek. Drżały nam dłonie i pierścionek potoczył się na podłogę. Nazajutrz przyszła córka jubilera i ostrzegła, że zginęły dwa pierścionki. Wieczorem przyniósł złote i srebrne ozdoby, zwymyślałam go i nazwałam złodziejem. Rozplakał się tak głośno, że jego głos nabrał miękkości: kiedy widzi błyszczące przedmioty, nie może oprzeć się pokusie, i musi ukraść, taka już natura, mówił, jest nieszczęśliwy i tylko ja mogłabym mu pomóc, chowając skradzione rzeczy i odnajdując ukryte w nim dobro. Objęłam mego pikola. Pocałował mnie, po raz pierwszy, lecz nie odczułam zmiany, o której marzyłam, nie staliśmy się prawdziwymi ludźmi. Kiedy zapukano do drzwi i zobaczyliśmy mundury policjantów, wyskoczył przez okno, ptak odfrunął. Błyskotki połyskiwały w blasku księżyca, gdy je założyłam, wyglądałam jak ptak w klatce.

Wysłałam z domu i pospieszyłam zapewnić jubilera o mej niewinności. Chłopiec stał za ladą, obok córki jubilera, i potrząsał głową. Wszystkie mijane po drodze kominy obsiadły duże sroki, trzepotały dumnie ogonem i terkotały.

Wróciłam do domu macochy. Wiedzioną niecnymi zamiarami chciałam odszukać Rolfa i powiedzieć, aby rozszarpał mego pikola. Spotkałam jednak tylko macochę; podobnie jak mnie przybyło jej lat, lecz ona była tak stara, iż potrzebowała pomocy. — Przybrana córko — mówiła — nie chciałam cię zatrzymywać w domu, bo powinnaś być inna niż ja i mieć prawdziwe dzieci. A mimo to nie pozwoliłam ci na inne życie niż moje, przyjęłam cię, aby w twym nieszczęściu odnaleźć i kochać moje, wiedziałam, że wrócisz.

Macocha ochrypla jak kruk, nigdy dotąd ludzka mowa nie dźwięczała tak w mych uszach. Pojęłam, że to za późno, jeśli ludzie zaczynają mówić, aby się zrozumieć. Kocha-

łam teraz milczenie. Przypomniałam sobie ryby, które udawały, że mówią, pomyślałam też o Rolfie, który nie wypowiedział ani słowa, zadowolając się osobliwymi dźwiękami. Z macochą nie rozmawiałam nigdy, a i ona milczała. Wiedziałam: gdybym mówiła, musiałabym używać złych słów. A brak dobroci u macochy sprawiał mi ból. W dzień nie potrafiłam jej opuścić, dopiero nocą wychodziłam do ciemnego ogrodu. Szeleściło listowie, szłam cichymi ulicami, gdzie światło latarni jaśniejsze było od księżyca. Tam usłyszałam szept. Dostrzegłam spojrzenie, ale nie chciałam go zobaczyć, gardziłam ludzką nikczemnością. Mimo to zostawiłam uchylone drzwi, niedługo bowiem czas zabierze mą młodość. Pochylił się nade mną szepcząc i pocałował wilgotne usta, przywarł do mego ciała; krzyczałam, tak jak zawsze miałam ochotę krzyczeć, dziko niby zwierzę, kiedy na ustach pojawia się piana i obrzydzenie. Kiedy się ocknęłam, już go nie było. Tej nocy zmarła macocha, może przeraził ją mój krzyk.

Siedziałam samotna przy stole macochy, zapełnionym akwariem z rybkami, herbarium z węzami i szklaną menażerią z piszczącymi myszkami. Kiedy zapadała ciemność i błyszczały latarnie, zostawałam w zamkniętym ogrodzie. W letnie wieczory siadywałam za żywopłotem i słuchałam, jak przebiegają zwierzęta. Nie potrzebowałam całować ludzi, aby poznać ich zwierzęcą postać. A kiedy przechodził Rolf, przywołany dawnym wspomnieniem, widziałam go w zwierzęcej skórcie, na czterech łapkach; całowały go inne dziewczyny. Wdrapałam się na drzewo i zawodziłam, lecz nie tak głośno jak w dzieciństwie, nauczyłam się bowiem panować nad sobą. A jednak Rolf uciekł i słyszałam, jak się oddala zawodząc. Letnią noc spędziłam na drzewie, i wypluwałam resztki myszy.

Przełożyła *Maria Krysztofiak*